NUMER 36. DNIA 4. WRZEŚNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

OFIARA

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

OSOBY:

JAN, właściciel wsi
MARJA, jego żona
PIOTR, sąsiad bliższy
PAWEŁ, sąsiad dalszy
MAGDUSIA, służąca
JERZY, WŁADYSŁAW, STEFAN, KAZIMIERZ, LEON — studenci
JĘDRZEJ, WALEK, ROKITA, JASTRZĄB, KUKULEC, ŁOZINA — chłopi
MATUS, syn Jastrzębia
URLOPNIK
JÓZEF, furman
KUBUŚ, lokajczyk
POSŁANIEC. GOŚCIE. PAROBCY. GOSPODARZE.

(Rzecz dzieje się we dworze JANA w trzech po sobie następujących dniach).

AKT I.

(Pokój obszerny — półsalon, półjadalnia. Na środku długi stół i stołki drewniane, wysokie (niem. zydle). Na ścianach sztychy i podobizny: Staszyca, Kościuszki, Lelewela. Także na ścianie duży zegar. W rogu piec kamienny. Na wprost: drzwi i dwa okna, poza niemi weranda oszklona. Przez szyby widać drzewa, obielone śniegiem. Na lewo dwoje drzwi, z tych jedne, dalsze, prowadzą do kuchni. Na prawo również dwoje drzwi; z dalszych, wiodących do pokoju gościnnego, dolatuje rozgwar męskich głosów. JAN, średniego wzrostu, w trzydziestu paru leciech, o twarzy Chrystusowej, krąży po pokoju zamyślony, omijając instynktownie stołki, w nieładzie poustawiane. Podchodzi ku werandzie, przeciera dłonią szyby i patrzy na dwór, potem wraca, poczyna szybciej krążyć, z widocznem zniecierpliwieniem, przystaje — nasłuchuje — i znów dalej krąży. Mrok. W przyległym pokoju gwar zwolna się ucisza — za chwilę słychać stamtąd stłumiony mocno CHÓR (unisono) męskich głosów:)

„Zgasły dla nas nadziei promienie,
Noc dokoła otacza nas blada —
Wstańmy, jako upiorów gromada,
We krwi wrogów ugaśmy pragnienie!“

JAN *(podczas śpiewu zatrzymuje się — pięść opiera o stół i stoi, zapatrzony przed się, z pochyloną głową. Mrok coraz ciemniejszy, tylko śnieg przez szyby rzuca białość do pokoju. Cisza).*

MARJA *(bez szelestu otwiera pierwsze drzwi na lewo — staje — podchodzi do Jana)* Janie!... *(mówi serdecznie, z rezygnacją).*

JAN *(przyciągając ją z lekka ku sobie)* Dziecko! Tak musi być...

CHÓR *(za sceną)*

„Cóż my winni, że kochać nie możem,
Gdy się wszystko tak podli i karli.
My, dla ziemskich rozkoszy umarli,
Żyjmy zemstą i święćmy ją nożem!“

LEON *(otwiera nagle drzwi)* Czy już przyjech...? *(Dojrzawszy ich w mroku dwoje razem, cofa się i zamyka drzwi zwolna za sobą.)*

JAN. Niecierpliwią się, że ich nie widać. I mnie niespokojność trapi, czy co nie zaszło... Tak się to niespodzianie przybliżyło. O czem człowiek marzył dopiero — już się staje... Nie dziw, że się serce trwoży...

MARJA. A nie możnaby oddalić... do wiosny?...

JAN. Nie, dziecko, już nie można. Wszystko przygotowane. Każdy dzień przedłużony może sprowadzić nieszczęście.

MARJA. Boże! Boże!

JAN. Paweł wyjeżdżał do Krakowa. Podobno już dzień oznaczono.

MARJA. Nie chciałabym być — Boże nie daj! — wróżką. Ale mam takie przeczucie straszne, że to zawcześnie.

JAN. Cóż robić... Już wstrzymać nie można. Pozostaje tylko jedno: wierzyć, mimo wszystko... *(Pauza.)*

MARJA. Jakie to rozpacznie smutne!

JAN. Ha! smutne... *(poczyna chodzić w zamyśleniu po pokoju wzdłuż koło stołu).*

MARJA *(stoi przy stole z pochyloną głową).*

JAN. Jak to podobne rzeczy dziwnie odmiennie się wydają oczom i sercu — w różnym czasie... Pamiętam... miałem czternaście lat wówczas, gdy przyszła wieść o powstaniu w Warszawie w 31-szym. Przywiózł ją do nas, do domu staruszek, trzęsący się, jak żabi skrzek, ze strachu. Cóż to za radość była w mojem sercu!... Takiej uciechy drugiej — mało uciechy — takiego szału wesela nie pamiętam. Ojciec gromił w surowych słowach mężów, o których mówiono, że wybuch spowodowali — ja wielbiłem ich, jak półbogów. Nocami przemyśliwałem nad ucieczką z domu — śniłem niebezpieczeństwa — sławę — widziałem się już generałem... Z jakim zapałem czyściłem pokryjomu znaleziony w rupieciach, stary, rdzą pogryziony pałasz! Wszystko wtedy grało we mnie wesołością — serce paliło się płomieniem... Nadzieja wielkich rzeczy szła od tych wypadków... A dziś... gdy się jest blizko czynu... smutek od tych spraw wieje...

CHÓR STUDENTÓW *(za sceną)*

„Zgasły dlas nas nadziei promienie,
Noc dokoła otacza nas blada...“

JAN. Żałuję, że nie jestem, jak dawniej, jednym z tych... wierzących młodo...

MARJA. Jesteś mój wielki! mój święty! *(przytula się ku niemu).*

JAN. Śpiewając tę pieśń, nie czują jej beznadziei... Szczęśliwy, kto nie widzi w rzeczach ziemskich smutku... Ten może bohatersko umrzeć... w Termopilach...

MARJA. Mówisz tak beznadziejnie... A przecie może Bóg dać.

JAN. Samaś powiedziała, iż masz przeczucie straszne.

MARJA. ...że to zawcześnie. Ale któż może przewidzieć...

JAN. Wtedy jakieś tchnienie wielkie powietrzem szło... Powietrze grało, jakby je Bóg uczynił orkiestrą naszej sprawy... Gdy teraz nic, znikąd pobudki... Jeno pobudka w sercach i w sumieniach, jakby na jaki sąd... Jakgdyby ludzie mieli powstać, podnosząc wieka z trumien... Powietrze nawet duszne, parne. I coś w powietrzu jest, co nęka. Jakby zmora nad tą krainą w powietrzu zawisła — skrzydłami, po horyzonty rozpiętemi, słońce i niebo przesłania — cień od nich pada na ziemię — na dusze... lękiem...

MARJA *(z trwogą).* Janie!

JAN. Przebacz! Nie trwóż się... Ja tylko wrażenie swoje... To pewnie złuda — sen przemęczonej myśli — jednej jedynej myśli o zbawieniu... *(wskazując w stronę studentów)* wszak ci nie czują tego.

MARJA. Nie. Jest coś, jak mówisz, w powietrzu, czy w nas — ja sama zauważyłam... Ludzie chodzą, jak we śnie. Sny zaś dziwnie wyraźne.

JAN *(zachodzi do okna)* Nie widać... *(wraca).*

MARJA. Nie mówiłam ci... Śniło mi się ubiegłej nocy, że jakieś wojsko wpadło do naszego domu. Ale to niby wojsko, a nie wojsko, bo ani broni nie mieli, ani mundurów na sobie... prędzej, jak banda żebraków. Wpadli i rzucili się naprzód na obrazy. Zerwali portret ojca twego (ten za szkłem) i poczęli deptać. Byli bosi. Widziałam, jak szkło przerzynało im nogi — i potem, gdzie stąpili — zostawały na podłodze za nimi krwawe stopy... Poczęłam wołać na ciebie i nie wiem co — bom się znalazła wśród pustki straszliwej — a pamiętałam, co się stało — z trwogi o ciebie zaczęłam płakać i w tym płaczu się zbudziłam. I wiesz..., nie gniewaj się... Rano zdjęłam portret ojca i położyłam go na szafie.

JAN *(jakby ostatnie słowa tylko słyszał)* Czemu to uczyniłaś?

MARJA. Bo mi przypominał ten przykry sen, ile razy przeszłam koło niego. Jeśli chcesz, to go powieszę napowrót.

JAN *(z umysłu nie odpowiada).*

GŁOS *(za sceną)* W pokoju!

JAN. Idź, Marjo, przygotuj, może już nadjadą... *(całuje ją w czoło. Marja w milczeniu wychodzi.)*

JAN *(po wyjściu Marji podchodzi do okna — opiera skroń o szybę — patrzy).*

CHÓR STUDENTÓW *(za sceną. Nucą unisono melodję: „Wiatr szumnie wionął po pustym stepie“. Melodja w połowie się urywa.)*

MAGDUSIA *(wchodzi z kuchni ze świecą w ręku — idzie w stronę pierwszych drzwi na prawo).* Cicho wszędy... Jeno się serce tłucze... *(zatrzymuje się przy stole)* O Matko Boska! co ja

się tak trwożę? Powiem... *(postępuje i znowu przystaje)* choć może to jeno strach mój... Powiem, niech będzie, co chce... *(otwiera drzwi — zaglądа, poczem zamyka je napowrót)* Niema...

JAN *(od okna)* Czy mnie szukasz?

MAGDUSIA *(upuszcza świecę, która gaśnie — poczem schyla się, podnosi)* O Boże! Jakżem się zlękła...

JAN. I ciebie, widzę, sny trapią. *(zbliża się ku niej)* Cóż chciałaś mi powiedzieć?

MAGDUSIA. Chciałam powiedzieć, że... jeszcze nie przyjechali... to jest...

JAN. Coś dziwnie mówisz.

MAGDUSIA. To jest, chciałam powiedzieć, że... *(przypada mu do kolan i chwyta rękę jego, by ucałować)* Niech się pan nie gniewa na mnie.

JAN. Dziecko, o cóżbym się gniewał...

MAGDUSIA. O ja wiem, że pan dobry! najświętszy!

JAN. Tak nie mów...

MAGDUSIA. I popróżnicy się trwożę. Panu nikt nic złego nie zrobi, bo pan dla wszystkich dobry. Pan taki, jak sam Pan Jezus...

JAN. Którego ukrzyżowali...

MAGDUSIA *(chwytając się za piersi)* O!...

JAN. Cóż tobie...

MAGDUSIA. Tak zabolało... *(nagle)* Słyszałam, że ma przyjść do pana Matus z ojcem — niech im pan nie wierzy, bo oni... *(słychać dzwonki sań).*

STUDENCI *(wpadając ciżbą)* Jadą!

JAN *(gorączkowo)* Światła! *(za odchodzącą)* Magdusiu! *(ta wchodzi do kuchni).*

STUDENCI *(wyglądając przez okna)* Dwoje sanek... Piotr... Paweł! *(otwierają drzwi na werandę)* Witajcie! Witajcie!

MAGDUSIA *(wnosi lichtarze — stawia je — odchodzi).*

JAN *(idzie ku drzwiom, gdzie cisną się już studenci i otaczają wchodzących: Piotra i Pawła. Dostawszy dłoń Pawła)* Ah! jesteś nareszcie! I ty Piotrze! *(wita ich serdecznie).*

STUDENCI *(razem)* Wiadomości!

JERZY. Zgłodzeni, czekamy od południa.

KAZIMIERZ. Wyśpiewaliśmy wszystkie znane pieśni... Przeszliśmy pamięcią całą historję, od Indusów począwszy...

STEFAN. I stoczyliśmy siedem walnych kłótni...

WŁADYSŁAW. A pan Jan chodzi od rana w gorączce — chwilki nawet nie spoczął.

PIOTR *(do studentów)* Dajcież mi odetchnąć... uh! *(zdejmuje futro, ociera zmarznięte wąsy).* To ci zima!

LEON. Wspaniała jazda — co? *(deklamuje z patosem)*

„Oto zapusty — dalej kulikiem!

Każdy wesoły...“ *(do Kazimierza)* Nie znasz? Słowacki!

JERZY *(gdy Jan z Pawłem rozmawiają na boku).* Panowie, głośniej! i my chcemy coś słyszeć...

PAWEŁ *(występując naprzód).* Panowie! pojutrze...

JERZY. Władek! Słyszysz? Pojutrze!

PAWEŁ. Każdy otrzyma hasło... Czuj duch! Godzina uderzy...

STUDENCI *(ze łzami rzucają się sobie na szyję).* Władek! Jurek! Leonie! *(potężny chór)* „Cóż my winni, że kochać nie możem — gdy się wszystko tak podli...“

PIOTR. Ciszej, ciszej! bo służba...

JAN. Piotrze! Nie zlewaj zimną wodą. U mnie służby niema.

PIOTR. Jakto? Obchodzisz się bez służby? Sam przecież widziałem...

JAN. Tak. To są moi zaufani... *(przyostają, mówiąc ze sobą na boku).*

JERZY. O jerum! Władku drogi! pojutrze! pojutrze!

LEON *(skanduje)*

„Skąd Li — twini wra — cają?

Z nocnej wra — cają wy — cieczki“...

Cha! Cha! *(obejmuje za szyję Kazimierza).*

STEFAN *(do Pawła)* Jakże okolica?

PAWEŁ. Czeka jeno hasła. *(Rozmawia dalej ze Stefanem).*

JERZY. Czuj duch! Wesele! Ostatni dzień! Urra!

LEON.

„Wesoło — zbrojnie — wrzawa — śmiech pusty —

A znasz ty polskie zapusty?“ Co? *(wiesza się na szyi Kazimierza).*

PIOTR *(do Jana).* A ja ci powiem: Nie ufaj tak bardzo, bo już niejeden...

JAN. Nie przekonasz. Darmo. Wierzaj mi: Serce jest jedyną spójnią...

PIOTR. Śpiewasz swoją odwieczną pieśń.

JAN. I nie przestanę. Tak mi Panie Boże dopomóż... *(wszyscy milkną).*

PIOTR. Amen.

PAWEŁ. Cóż to?

PIOTR. Nic. Jan przysięga na wiarę, którą od kołyski wyznaje, już po raz setny... *(Marja wchodzi — za nią Magdusia z przekąską na tacy).*

PAWEŁ i PIOTR *(zbliżają się ku Marji)* Pani Marjo! *(całują ręce).*

MARJA. Kiedyż? Kiedyż?

LEON. „Zagrzmiały rogi — Jezus! Marja! Naprzód!“

STUDENCI. O! Urra!

MARJA *(do Pawła)* Tak prędko?

PAWEŁ. I dnia odwlekać nie można. *(Magdusia, postawiwszy na stole przekąskę, odchodzi).*

JAN *(do Piotra i Pawła)* Proszę. Raczcie przekąsić... z drogi... *(Piotr i Paweł siadają).*

MARJA. Ha! *(zamyśla się)* Zobaczę, jakiego to pojutrze świętego... *(idzie zwolna ku lewej stronie).*

JERZY *(podbiega)* Pani Marjo! Pani Marjo! Niech mnie pani pobłogosławi! *(całuje jej ręce).*

STUDENCI *(biegną — razem)* I mnie! I mnie! I mnie!

MARJA *(uśmiecha się przez łzy)* Wszystkich, wszystkich! Kochani chłopcy... *(Wchodzi Jastrząb z Matusem).*

(C. d. n.)

Dwie miary i dwie wagi.

W nr. 34. „Prawdy“ warszawskiej pomieszczony został trzeci z rzędu artykuł p. A. Wróblewskiego p. t. „Przeciw prostytucji“. Zalecając każdemu z naszych obywateli przeczytanie tych artykułów in extenso, podaję tutaj tylko główną myśl przewodnią, kierującą piórem autora rzeczonego.

O „Ohydzie wieku“ wydał cenną broszurkę p. A. Wysłouch, podobnej treści mamy inną pracę pod tytułem „Hygjena skromności“. Pierwsza doczekała się dwóch wydań, druga jest na wyczerpaniu, widać więc, że ludzie myślą o poprawie zła; nadto w Warszawie zapowiadają utworzenie „Tow. podniesienia moralności publicznej“. U nas tu, niestety, prawie nikt nie czytał broszur wymienionych, a tem mniej myśli ktokolwiek o założeniu towarzystwa, mającego na celu podniesienie moralności publicznej, jak gdyby obcem było nam wszystkim to prawo, że niemoralność jest główną przyczyną zagłady narodów. Otóż może kilka myśli, dotyczących tego przedmiotu, zwróci uwagę ludzi myślących i pobudzi do zastanowienia się nad złem, nurtującem i nasze społeczeństwo.

Wśród sfer t. zw. inteligencji, zakorzenił się przesąd, że młodzieniec po dojściu do dojrzałości, przyspieszanej w najnienaturalniejszy sposób używaniem napojów alkoholicznych, powinien zadawalać swe popędy, kobiecie zaś na podstawie z góry zakreślonych zasad nadano odmienne prawa. A jednak obie płci mają jednostajne potrzeby organiczne, więc powinne mieć i jednostajne prawa, to, co jest złem dla kobiet, jest również złem dla mężczyzn: przedwczesny rozwój popędów jest zabójczym dla obu płci. Te same prawa, jakie ma mężczyzna, powinna mieć kobieta. Gdy społeczeństwo odejmuje prawo rozpusty kobietom, powinno też odjąć i mężczyznom, ponieważ ani sprawiedliwość, ani doświadczenie, ani wiedza nie znają pod tym względem różnicy pomiędzy obu płciami. Prostytucja ulegalizowana istnieje dla mężczyzn, mienimy ją „klapą bezpieczeństwa“ i to właśnie jest największym błędem i fałszem największym, — przeciwnie wpajanie w umysły młodzieży przekonania, że czystość płciowa jest nie tylko możebną, ale i konieczną u obu płci, że ona uszlachetnia fizycznie i moralnie osobniki młode, uczyni życie rodzinne stalszem, lepszem, podnioślejszem. Mówią, że trzeba, ażeby młodzieniec się wyszumiał, dla czegoż nie powiedzą, że trzeba, ażeby się dziewczyna wyszumiała. Na jakiej podstawie opiera się takie zapatrywanie hygjeniczne, różne dla obu płci? Wyszumowanie się młodzieży pociąga za sobą straszne następstwa, graniczące ze znikczemnieniem osobników moralnem i fizycznem. Taż sama matka, która z pobłażliwym uśmiechem patrzy na wybryki swego syna, umarłaby ze wstydu i boleści, dowiedziawszy się, że jej córka źle się prowadzi; nie uderza jej wcale nielogiczność wymagania czego innego od syna, niż od córki, a przecież hańba, która ją zabija skutkiem złego prowadzenia córki, jest w swej istocie taką samą, jaką jej syn przynosi. Ojciec, który gotów jest zabić córkę za zhańbienie szlachetnego imienia, obojętnie dowiaduje się o rozpuście syna, powiadając co najwięcej: „Ja taki sam byłem za młodu“. Jeżeli istnieją dwie płci, to jednak niema żadnej racji, ażeby istniały dwa odmienne prawa społeczne i dwa prawa moralności. Wina jest taką samą, czy dotyczy ona kobiety, czy mężczyzny. Nasza etyka przepisała słusznie prawa dla kobiet, ale niesłusznie praw tych samych nie rozciągnęła na mężczyzn; zrównoważenie obu płci pod względem przepisów moralności jest jedną z najbardziej naglących potrzeb:

nałożyć wędzidła etyki na rozpustę mężczyzn powinno być zadaniem wieku obecnego.

Ażeby naocznie wykazać, jak odbiegły nasze poglądy od tych myśli jasnych i prostych, zawartych w artykułach p. A. Wróblewskiego, z których ideę przewodnią przytoczyłem powyżej, posłużyć może przykład następujący: W nrze 404. „Słowa Polskiego“ pomieszczoną została nowelka, pióra p. Z. Dzikowskiego. Autor przedstawia w niej łobuza „Stacha“, mającego zwykle doskonały humor i posiadającego „potężny genjusz“ rozpustnika, ten za namową dwóch nicponiów oszukuje swoją ciotkę i pod pozorem, że potrzebuje pieniędzy na leczenie obłożnie chorego kolegi swego, dostaje od niej 25 złr., pieniądze otrzymane, wraz z „flotą“ kolegów, marnują szubrawcy na przyjemnie przepędzonym wieczorze. „Stasiunio kochany“, jak go ciotka w nowelce nazywa, wraca w „różowym humorze“, „winduje się akrobatycznie“ na schody, budzi ciotkę i raz jeszcze ją okłamuje, oświadczając, że kolega umarł. Nowelka ta cała nieetyczna, brzydka, gorsząca, przedstawiająca zgniliznę moralną pokolenia „Stasiuniów“, z którego się rekrutują osławieni Józiowie i Jasiowie, nikogo jednak nie razi, jak i cyniczna nowelka drukowana w temże piśmie o „spadkobiercy“ pana Jakóba; przeciwnie uznaje się pospolicie „Stasiunia“ za porządnego chłopca, przyszłego dzielnego obywatela kraju: on się wyszumi i z łobuza i oszusta stanie się nadprzyrodzonym cudem uczciwym człowiekiem. Ale gdybyśmy podstawili zamiast Stacha, jakąś Marynię np., któraby z dwoma swemi koleżankami przepiła i przejadła w jeden wesoły wieczór 25 złr., gdyby ta Marynia oszukała wujaszka, wyłudziła od niego 25 złr., wróciła pijana i na dobitek okłamała swego opiekuna, powiadając, że wraca od łoża ukochanej przyjaciółki, która na jej rękach skonała, cóżbyśmy na to powiedzieli? Oto Marynię nazwalibyśmy ladacznicą, a nowelkarzowi za pomysł tego rodzaju dalibyśmy nauczkę porządną, ażeby nie gorszył czytelników.

Przykład tu podany wskazuje, że mamy dwie miary i dwie różne wagi dla oceny moralności chłopców i dziewcząt, mężczyzn i kobiet i to jest największe zło w układzie naszym społecznym. Mężczyźni powinni mieć taki sam obowiązek być moralnymi, jak mają kobiety. Zrównaniem tylko wymagań naszych, odnośnie do etyki obu płci, możemy zaradzić rozpuście, rozpowszechnionej tak straszliwie w naszem społeczeństwie. *Dr. B. Dybowski.*

Louis Courajod.

(Leçons professées à l'ecole du Luvre. 1887—1896).

Trzy tomy grube wypełniają nauki ś. p. prof. Courajod, spisane częściowo wedle ustnych wykładów, częściowo wydane z jego notat i papierów przez wdzięcznych uczniów i współpracowników.

Nie można się dziwić żadną miarą tej wysokiej czci uczniowskiej, jeśli się przejdzie myślą treść tych ksiąg stworzonych przez umysł nawskróś niezależny, a najgłębszą miłością do swoistej kultury przejęty.

Jako historyk sztuki należy Courajod do najswobodniejszych umysłów, którego wolność polega jednak na tak daleko idącem opanowaniu wszystkich decydujących dla dziejów sztuki doktryn, na takiem przezwyciężeniu konwencjonalnych teorji estetycznych, że go śmiem postawić wyżej nad każdego niemieckiego „Kunsthistorikera“, wyżej nawet jako filozofa sztuki nad Ruskina.

Courajod to nie eklektyk ani smakosz artystyczny, ale głęboki znawca i badacz dróg, któremi szła twórczość artystyczna narodów. Sztuka jest tylko jedną ze stron tego potężnego zjawiska, jakiem jest wyładowywanie się energji życiowej narodu każdego.

„Sztuka ludu, jego pojęcia o pięknie formują się tak, jak rozwija się prawo lub dobro, nie jako wynik rozumowania, ale jako długie następstwo bogatego wezbrania sił czynnych“.

To wezbranie sił czynnych jednak dalekiem jest od upodobań i smaczków arystokracji. Tylko żywotny masowy zapał ludu wytwarza żywotną sztukę.

Dlatego ulubionem przeciwstawieniem prof. Courajoda jest sztuka grecka i sztuka wieków średnich jako twórczość mas o pewnem wysokiem napięciu kulturalnem, w porównaniu z nikłą bez krwi przesyconą formalizmem, obcą dla mas narodowych sztuką rzymską i jej odbiciem późniejszem, sztuką włoską 17 wieku i temi pokurczami włoszczyzny, którymi świat oficyalny arystokratyczny i mieszczański jest przesycony po dziś dzień.

Pogląd ten pozwala wielkiemu uczonemu dojść do niesłychanych wręcz zapoznanych zupełnie rezultatów w stosunku do sztuki romańskiej, gotyckiej a częściowo i do okresu wczesnego renesansu.

Po raz pierwszy nie półgębkiem, nie pod przymusem pewnych jaskrawo bijących faktów przyznaje się formującą artystycznie siłę u narodów północy, siłę miejscową odwieczną i żywiołową, pod której naciskiem tworzy się częściowo styl „romańskim fałszywie nazywany“ a w całości sztuka francuska

narodowa czyli styl gotycki. To wyciągnięcie na jaw, należyte ścisłe naukowe określenie współczynnika miejscowego, owej sztuki pogańskiej, keltycko-gallickiej, irlandzkiej i normandzkiej, w dziejach tworzenia się stylów historycznych to wyłączna zasługa Courajoda.

Wyjaśnienie zagadkowej roli budownictwa drewnianego narodowego francuskiego w utworzeniu się gotyku, wykazanie wpływu zdobnictwa „barbarzyńskiego“ wogóle na sztukę średniowieczną to zdobycz dla nauki i dla samowiedzy naukowej pierwszorzędnej wartości.

Nowym również jest pogląd na doniosłą nie słychanie rolę Wschodu bizantyńskiego i syryjskiego na kształcenie się kultury zachodniej, wtedy kiedy Rzym już był tylko martwym symbolem bezcielesnym kiedy (wiek VI, VII i VIII po Chr.) nic rzymskiego już właściwie w nim nie było.

W ślad za tem rozumowaniem idzie ważne, dla Francuzów wprawdzie najbardziej, lecz niemniej znaczące i dla innych narodów, uznanie korupcji nieustannej ducha narodowego przez sztukę włoską. Cały wiek 17 to zupełne zwłoszczenie budownictwa, wyzbycie wszystkich cech narodowych.

Przychodzi sztuka uniformowana przez jezuityzm i arystokrację, przychodzą kościoły jezuickie budowane wedle wzoru Chicesa del Gesu w Rzymie, pod wszystkimi klimatami i u wszystkich narodów prawie bez zmian ważniejszych. Przychodzi zwyrodnienie na punkcie włoszczyzny takie, że bóg teorji estetycznej jednolitej 18 wieku Winckelmann w podróży do Niemiec chce wracać z Tyrolu, bo nie może znieść widoku wysokich dachów i zamków tyrolskich, obrażających jego delikatny gust włoski. Klasyczność to znaczy to co odnosi się do starorzytnego łacińskiego świata, staje się nieodwołalnym sprawdzianem piękna, wobec którego całe średnie wieki to ciemnota i barbarzyństwo.

Ten klasycyzm jednak zawsze był własnością estetyczną garści arystokratów i plutokracji, ale w głąb ludu nie sięgał nawet we Francji, ani nawet w starożytnym Rzymie, a proletarjat rolny, chłopi p o g a n i e, niemo podlegający kierownictwu klas panujących nie dotknięci zostali tak głęboko zepsuciem rzymskiem, oni zachowali nienaruszenie zapas narodowych instynktów.

Odkąd Jezus przemówił, niewolnicy poczęli oddychać innem powietrzem, nie zepsutem przez dekadencję łacińską, żyli innym chlebem od tego, które im rozdawało cesarstwo rzymskie i mówiło w rzeczach sztuki innym językiem, niż tym, który się mieścił w gramatyce piękna rzymskiego Witruwiusza (I. 531).

Ten inny język artystyczny ludu prostego przejawił się w kościołach norweskich jako sztuka normandzko-angielska, w księgach illuminowanych kodeksów irlandzkich od 6-go po X stulecie, wszedł do romańszczyzny, objawił się w nieskończenie żywiołowej potędze ducha gallickiego w gotyku i dał się poznać w ostatecznej, ale jeszcze aż nadto wyraźnej postaci w stylach odrodzenia każdego europejskiego narodu, nim go czasy baroku i stylu rocaille nie zdusiły zupełnie.

Taki jest najpobieżniejszy szkielet myślenia prof. Courajoda.

Mieści się w niej zwycięskie powstanie północnego pierwiastku ludowego do walki z panującym szematem klasyczno-łacińsko-włoskim, mieści się dalej żądza zwrócenia sztuki do łożyska krajowego, odebrania jej owej twarzy bez wyrazu, a raczej o kosmopolitycznym zuniformowanym przez miarodajną estetykę wyrazie, i nadanie jej znamienia płynącego z najgłębszych masowych instynktów ludu.

Te wykłady prof. Courajoda dziwnie zbiegają się z tem wszystkiem, co się u nas w sztuce ludowej pisze i robi. Nawet i błędy wypowiadane przez Czesława Jankowskiego w sprawie sztuki ludowej, zadziwiająco są podobne do doktryn akademików francuskich, z połowy pierwszej 19 stulecia, oburzających się na „b a r b a r z y ń s t w o“ stylu gotyckiego.

Trzeba rzeczywiście trochę w tem polskiego szczęścia w polskiej biedzie, aby instynkt samozachowawczy narodu obudził się w czasie, kiedy lud nie wyzbył się jeszcze zupełnie odwiecznie polskiego budowania, odwiecznych sposobów zdobienia, kiedy zbliżenie się artystów klas wyższych do zasobów sztuki ludowej stworzyć może artyzm rodzimy, polski o odrębnym języku form, o jakiem dla Francuzów marzył Courajod.

I będzie to nie kopja dawnego życia chłopskiego w sztuce, ale nowy twór sztuki, mający się tak do języka ludu, jak Dziady Mickiewicza do... rzeczywistego ludowego obrzędu.

To wszystko mówi językiem Francuzów Courajod do Francuzów tak wyraźnie, po prostu na usta ciśnie się porównanie jego osoby z tem, co pisał u nas i co robił zwłaszcza... Witkiewicz.

Są rzeczy widać, które leżą w powietrzu dzisiejszej cywilizacji, jeśli Francuz Courajod i Polak Witkiewicz w tym samym czasie (to jest od r. 1886) walczyli o jedno i to samo każdy w swojem społeczeństwie i ze... swojem społeczeństwem.

I dlatego streszczenie najpobieżniejsze wykładów w Luwrze wielkiego francuskiego profesora, niech będzie pokazaniem naszym niedowiarkom, że sprawa odrodzenia sztuki polskiej i ludu nie jest tylko pacanowsko-polskim kątem widzenia, ale odłamem zjawiska ogólno-europejskiego, którego wyrazem jest zerwanie z kosmopolityzmem w twórczości artystycznej.

Kazimierz Mokłowski.

Z obcej niwy.

(Ciąg dalszy.)

Ślepy muzykant — najgłośniejsza i najprostsza powiastka Korolenki. — Opowiada dzieje ślepego dziecka, które miało wielki talent do muzyki; potem dziewczyna jakaś go pokochała i za mąż wychodzi za niego. Jest to silne studjum psychologiczne, pełne liryki... Tchnienie stepów i lasów przenika to opowiadanie.

Niemniejszym wdziękiem i dowcipem odznaczają się Stary dzwonnik, Prochor i studenci, Z dwóch stron, Szkice Pawłowskie.

Bardzo ciekawe są, ogłoszone po powrocie Korolenki do Rosji, Szkice turysty sybirskiego (1885), gdzie autor po raz pierwszy maluje to zastałe życie Sybiru, z jaskiniami rozbójników, napadami nocnymi na podróżnych, z gromadą „brodjagów“ i „niepomniaszczych“ (niepamiętających swego imienia). Ciekawy typ stanowi „jamszczyk“ (woźnica), który wznieca śród zbójników jakiś strach przesądny, że go żadna kula nie dotknie — i na którego też nigdy „brodjagi“ nie napadają.

Szereg nowel o włóczęgach i katorżnikach rozpoczyna Marusia. Jest tu osiedlony w ziemi Jakutów Stefan, który żyje z Marusią również zesłaną i ma się z nią żenić; Marusia marzy o lepszem życiu, o powrocie między ludzi — i Stefan takżeby tego pragnął, ale jakaś tajemnicza tęsknota ciągnie go na step, w puszczę, gdzie się wiąże z tatarem Achmetzanem i razem idą na zbój między Jakutów. Autor maluje tu ciekawy fenomen „niewinnego przestępcy“.

Sokoliniec znowu jest to niby przeciwieństwo Stefana. I on tęskni za szeroką swobodą stepów, ale osiedlił się w chałupie i sam siebie okłamuje, że mu jest dobrze, że ma spokój, że się cieszy swoją krówką i byczkiem i szacunkiem ludzkim. Ale i on ostatecznie idzie w step: taka już jego linja.

Wolterjanin sybirski, „Iwan trzydziesto-ośmioletni“ jest pod sądem za zabójstwo „Ubiwca“. — Ubiwcem nazywał się ów „jamszczyk“ tajemniczy, o którym mówiono, że zabić go nie można. Iwan chciał ten przesąd obalić — i zabił go w drodze. Taka linja! tłumaczył się na wszystko. Tu na przykład gadam z tobą (z sędzią) spokojnie, bo taka linja, a gdybyśmy się spotkali w stepach, to byłaby inna rozmowa, bo już inna linja.

Do najgłośniejszych opowiadań Korolenki należy Ubiwiec, gdzie mamy szczegółowe dzieje sławnego jamszczyka; i on był kiedyś skazańcem, ale później się ustatkował i śród włóczęgów siał grozę i trwogę, póki go Iwan nie zabił.

Interesujące również typy stanowią sekciarze, heretycy, pobożni pielgrzymi, mnichy wędrowne; bardzo jaskrawo wystawia autor ich posiedzenia, rozprawy, spory, modły i śpiewy.

Wszystkie te postaci traktuje Korolenko, jako intelligent, patrzący z boku; ma on dla nich wielkie współczucie, smuci się nad ich losem, rozważa możliwość ich poprawy i polepszenia ich doli. Przytem ze studenckich czasów pozostała mu wiara w pewne doktryny społeczne — i na tle tej wiary snuje różne teoretyczne uwagi. Zresztą teorji nie nadużywa, gdyż zmysł artystyczny utrzymuje go w granicach objektywnego realizmu. Psychika tych zaprzepaszczonych ludzi interesuje go najwięcej.

Twórczość Korolenki przenika wielka melancholja. Bada on zjawiska, stanowiące dla niego zagadkę. W głębi serca czuje on zawsze na dnie tych zjawisk coś dobrego, ale to dobre zasłania cała warstwa pierwiastków ciemnych. Owóż praca wydobywania sił dobrych z pod nagromadzenia zjawisk pobocznych ciemnych jest źródłem melancholijnego smutku Korolenki. Smutek ten jednakże ma w sobie jakieś cechy optymizmu, autor bowiem wierzy, że to co jest dobre — prędzej czy później na wierzch wypłynie. Zatrważa go wieczny splot nienormalnych stosunków między ludźmi, ale na czem polegają te nienormalne stosunki, nie zawsze — prawie nigdy — z bezwzględną jasnością da się to wytłómaczyć. Czasami zdawać się może, żeśmy tajemnicę odgadli, ale nowe starcie z rzeczywistością burzy cały gmach naszych poglądów i znów jesteśmy w chaosie. Pod zasłoną wszystkich postaci, jakie maluje Korolenko, ukrywa się właśnie tego ro-

dzaju metafizyka autora — i ona to stanowi źródło, jego głębokiej melancholji.

Maksym Gorkij (właściwie Pieszkow) ukazał się w literaturze rosyjskiej, prawie niezauważony (w r. 1895), ale już w r. 1900 stał się europejską znakomitością. Tłumaczenia francuskie, niemieckie i angielskie upowszechniły po całym świecie jego imię i dzieła. Rozgłos ten zawdzięcza Gorkij niezmiernej oryginalności swego życia, które mu pozwoliło odkryć zupełnie nieznane dziedziny społeczne i psychiczne. Pochodzi on z najniższych warstw ludności; nad Wołgą wśród burłaków (tj. flisów) przeszła jego młodość; żył wśród ludu roboczego po wsiach i po miastach, błądził po stepach i po lasach, próbował różnych rzemiosł: był wioślarzem, piekarzem, wyrobnikiem w polach czarnomorskich; ale głównem jego towarzystwem byli tzw. bosaki, tj. włóczęgi, którzy są koczownikami z natury, którzy uprawiają koczownictwo dla sztuki: jest to typ możliwy jedynie w południowej Rosji, w klimacie prawie gorącym na dzikich polach, w okolicach Chersonia, Odessy, Astrachania, morza Czarnego... Są to ludzie pół dzicy, z ducha całkiem niespołeczni, ludzie wolni od wszelkich związków rodzinnych, rodowych, gminnych, państwowych; ludzie, żyjący po za nawiasem zorganizowanego społeczeństwa... I cóż to za ludzie? Przypominają oni lazzaronów włoskich, i mohikanów paryzkich, i cyganów z romantycznych opowiadań; jest w nich trochę z ducha starej hajdamacczyzny. Moralność tych ludzi jest również niejasna, jak i ich życie; kradzież, zabójstwo, gwałt — to dla nich rzecz drobna; a jednocześnie są pełni poświęcenia, bezinteresowni, tkliwi — i pełni melancholji. Każdy z nich ucieka z miast na pustynię, jak prorok i rozmyśla, jak żyć i poco żyć? Przyczem żyją jak najgorzej i zawsze dochodzą do wniosku, że nie ma poco żyć i niewiadomo poco. (C. d. n.)

A. Wrzesień.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Warszawa na schyłku XVIII. w.* W r. 1796. ukazało się w Paryżu pięciotomowe dzieło, p. t. „Voyage de deux Français“, poświęcone opisowi podróży naukowej dwóch francuzów po Niemczech, Danji, Szwecji i Polsce. Tom piąty owego dzieła opisuje pobyt podróżników w Warszawie i w Krakowie w ostatniej dobie panowania Stanisława Augusta bardzo zajmujący, z uwagi na ciekawe spostrzeżenia autorów nad zabytkami architektury ówczesnej, urządzeniem pałaców magnackich w dawnej stolicy Rzeczypospolitej i cenniejszemi pamiątkami sztuk plastycznych, jakie się w nich podówczas znajdowały. Obecnie opis ten, dzięki p. Aleks. Krausharowi ukazał się w przekładzie polskim, p. t. „Warszawa na schyłku wieku XVIII., według relacji podróżników francuskich“.

NOTATKI. *Spuścizna po L. Mierosławskim.* Jeden z członków-korespondentów Muzeum polskiego w Rapperswylu, któremu rodzina oddała do przejrzenia papiery po zmarłym w r. 1901 ś. p. Ludwiku Dygacie i złożenia z nich w Muzeum tego, co uzna za stosowne, oddał w tym roku zarządowi Muzeum bogatą spuściznę rękopiśmienną po Ludwiku Mierosławskim. Spuścizna ta dostała się do rąk ś. p. Dygata od rodziny Mazurkiewiczów. Są w tym zbiorze rękopisy historji powstania r. 1830—31, notaty i opracowania poszczególnych wypadków, relacje, pamiętniki i uwagi, z których Mierosławski korzystał w swej pracy, ale których w zupełności nie wyzyskał; są dalej dokumenty, dotyczące wyprawy Mierosławskiego do Badenu i Sycylji, korespondencja Mierosławskiego z tych czasów i późniejsza, aż do końca jego życia, są obfite materjały, dotyczące szkoły Genueńskiej (1861—62), korespondencja Mierosławskiego z Marjanem Langiewiczem z roku 1861, korespondencja z Komitetem centralnym i Rządem narodowym z r. 1861—63, dokumenty, dotyczące organizacji w okresie przedpowstaniowym, olbrzymi zbiór druków ulotnych i broszur z tego czasu, wreszcie rozmaite niewydane rękopisy Mierosławskiego. Prócz tego znalazła się w papierach po ś. p. Dygacie spuścizna Towarzystwa demokratycznego, mianowicie archiwa „gmin“, protokoły posiedzeń i dokumenty centralizacji, dalej zbiór pamiętników (rękopisy) z r. 1863, korespondencja Kazimierza Jarochowskiego (około 30 listów), archiwum Pomocy Bratniej w Paryżu, Koła prasowego, Czytelni polskiej i cały szereg innych materjałów, dotyczących instytucyj i towarzystw emigracyjnych.

Utwory Nowaczyńskiego na scenach niemieckich. Grane w ubiegłym roku na scenie krakowskiej jednoaktówki Ad. Nowaczyńskiego w nadchodzącym sezonie ukażą się na dwóch scenach berlińskich. „Miłosierdzie ludzkie“ grać będzie teatr Lessinga; najbardziej literacki i najwykwintniejszy w Berlinie „teatr mały“ przyjął do wystawienia dwie jednoaktówki: „Sobowtór“ i „Hamlet“ i „Don Juan“. Wszystkie te dzieła wyszły w przekładzie niemieckim nakładem firmy wydawniczej Marchlewskiego w Monachjum.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.